



MAX KWIETNIEWSKI
DETEKTYW,
JAKIEGO JESZCZE NIE BYŁO

WOJCIECH
DUTKAN

CZARNA
PSZCZOŁA

ZEMSTA, PIENIĄDZE, POLITYKA

Prolog

Pszczoły czarne są przystosowane do chłodnego klimatu; doskonale znoszą zimę. Są tak łagodne, że gdy ich ule zostają zaatakowane przez szerszenie, nie potrafią się bronić i zazwyczaj wszystkie giną w tej nierównej walce. Aby temu zapobiec, ludzie zaczęli je krzyżować z innymi rasami tych pożytecznych owadów.

Na dalekiej północy „czarnymi pszczołami” nazywa się ludzi, którzy nie potrafią się bronić przed zjadłą nienawiścią innych. Niewiele przecież trzeba, by człowiek nienawidził człowieka. Czasami wystarczy, że jeden ma coś, czego ten drugi nie ma. Czarne pszczoły umierają niepostrzeżenie i coraz częściej przyczyną ich śmierci jest samobójstwo. W tym ostatecznym targnięciu się na własne życie nie ma niczego, co przypominałoby morderstwo – szalu, żądzy krwi, pasji czy nienawiści, tego, co stanowi o zbrodni. Po prostu najpierw umiera nadzieja, a potem wszystko dzieje się szybko. Nikt nie słyszy niemego krzyku człowieka, który nie potrafi już znieść szykan, nienawiści i podłości.

Właśnie ktoś taki umarł pod koniec czerwca 1940 roku w Biarritz nad Atlantykiem. Dwa miesiące wcześniej Fran-

cja skapitulowała, a jemu nie udało się uciec. Jego przyjaciel, Jan Lechoń, pracownik polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych rządu na uchodźstwie, a zarazem sławny poeta, odmówił mu pomocy, choć tamten bardzo na nią liczył. Zawiedziony, postanowił ukryć się z dala od Paryża. Mówił po francusku bez akcentu, z wycuciem językowym dorównującym Proustowi czy Emilowi Zoli.

Ktoś jednak wydał nieszczęśnika w ręce Gestapo. Zgodnie z oficjalną wersją, francuscy policjanci znaleźli go na plaży należącej do posiadłości jego dalekich krewnych. Leżał na lewym boku; fale oceanu obmywały mu bosc stopy. Był w spodniach i niebieskiej, kraciastej flanelowej koszuli. Dłoń miał zaciśniętą na brzytwie, którą jakoby poderżnął sobie gardło. Na szyi widniała głęboka rana; krew zdążyła wsiąknąć w piasek, barwiąc go na różowo. Uznano, że mężczyzna popełnił samobójstwo. Francuska policja była wówczas na usługach Niemców i nie zależało jej na tym, by dojść do prawdy. Śledztwo szybko zamknięto. Kto by się przejmował śmiercią jednego Żyda?

Malarza z Polski, Józefa Rajnfelda.

*

Siedemdziesiąt pięć lat później na bulwarze imienia Bohdana Grzymały-Siedleckiego nad Wisłą, jak co dzień, kilka osób uprawiało poranny jogging. Na wysokości Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, pod Mostem Świętokrzyskim, przy samym brzegu rzeki ktoś leżał. Zauważyło go jednocześnie, z różnych perspektyw, troje ludzi – pracownik firmy sprzątającej nabrzeże oraz dwie studentki. Człowiek z MPO, który nie cierpiał swojej pracy, był od rana nie w humorze, ale widząc leżącego mężczyznę, pospieszył na ratunek. Dziewczyny przez chwilę zastanawiały się, czy nie pobiec da-

lej, przypuszczały bowiem, że to kolejny pijak, amator wina marki Wino. Ale jedną z nich uderzyło coś w tym człowieku, choć nie umiałyby powiedzieć co. Może stare ciuchy, w których wyglądał jak kloszard. Ale nawet kloszardzi dziś się tak nie ubierają.

Zaciekawione, ruszyły w jego stronę i w tym momencie pracownik MPO zaczął krzyczeć. Mężczyzna był w starej flanelowej koszuli w niebieską kratę i czarnych wełnianych spodniach. Miał bosa stopy. Sine palce prawej ręki zaciskał na brzytwie. Leżał na lewym boku, tak że dziewczyny nie widziały jego twarzy. Wokół głowy i szyi była jednak kałuża zakrzepłej krwi.

Jedna z dziewczyn natychmiast zadzwoniła pod 997. W niecałe pięć minut na nabrzeżu zjawiła się policja.

Rozdział pierwszy

PANI OD PSZCZÓŁ

Kampinos, współcześnie

Odkąd emerytowana prokurator Barbara Siemieńska zamieszkała w Kampinosie, jej marzeniem było założenie pasieki. Słyszała, że las znajdujący się nieopodal jej domu i uli dosłownie brzęczy od pszczół spijających słodką wydzielinę zielonych mszyc, owadów żywiących się sokami drzew iglastych. W produkcji miodu, jej technicznych szczegółach, nie ma nic poetyckiego, mimo to Barbara traktowała swoje nowe zajęcie niemal z czułością. Własne pszczoły nigdy jej nie użądliły. Zawsze, gdy szła do uli podebrać miód, wkładała stary umazany woskiem fartuch i szeroki kapelusz z siatką, wyglądający jak moskitiera. Brała tylko dwa plastry miodu z czterech znajdujących się w ulu, nigdy więcej, zabierała przecież pszczołom ich własność. Następnie wkładała ramy z plastrami miodu do elektrycznego wirnika, z którego wyciekał do podstawionego garnka. Uwielbiała to. Produkcja miodu nie była dla niej sposobem zarabiania na życie. Pszczelarstwo to sztuka i pasja, a nie dorabianie się bez szacunku do żywych stworzeń. Traktowała pszczoły jak przyjaciół; były jej najwierniejszymi kompanami w leśnych ostępach.

Odwirowała właśnie świeży miód, tym razem żółtobrą-

zowy, intensywnie pachnący jesienną spadzią i wrzosem. Czekwała na córkę i wnuka, który uwielbiał babciny miód. Córka była dziennikarką i pracowała w stacji telewizyjnej o nazwie, której nie było sensu zapamiętywać. Wszystkie te wielkie firmy to wyścig szczurów. Jedna ich cholera, przeklęła Barbara, myśląc o życiu, jakie wybrała Agata. Urodziła ją późno, dobrze po czterdziestce, i córka chyba nie zdawała sobie sprawy, że jej matka nie miała łatwego i przyjemnego życia. Z drugiej strony, Agacie też nie było lekko. Ona również samotnie wychowywała dziecko, bardzo delikatnego i wrażliwego chłopca, Dominika. Mąż Barbary zmarł, kiedy ich córka miała trzynaście lat. Agata powieliła więc model. Przed laty rozwiodła się z restauratorem Krzysztofem Wróblewskim, ale została przy jego nazwisku.

*

Barbara wiedziała, że jej czas się kończy. Rak płuc w bardzo zaawansowanym stadium. Mimo choroby i wieku – miała dziewięćdziesiąt lat – trzymała się doskonale. No ale przecież nigdy nie pozwalała sobie na niezdrowe jedzenie, nie przesadzała z alkoholem i od lat nie paliła.

– Żyłam dostatecznie długo – odparła lekarzowi, który namawiał ją na chemioterapię – operacji w moim wieku NFZ nie sfinansuje.

– Mówię o prywatnej terapii. Dam pani adres kliniki w Warszawie – powiedział zatroskany lekarz.

Westchnęła i pokręciła głową.

– Panie doktorze, mam dać się zamknąć w szpitalu, gdzie wlejecie we mnie ileś litrów chemii? Wypadną mi wszystkie włosy, będę wymiotowała własną krwią, żółcią i tym, co zdołam przełknąć z waszego szpitalnego wikt. Dziękuję, nie.

– Właściwie nie powinienem pani stąd wypuścić – nale-

gał lekarz.

– Musi pan uszanować mój wybór. Mam prawo odejść tak, jak ja chcę. Jestem wolnym człowiekiem.

Nie był tym zachwycony, ale przyznał jej rację.

– Ile mam czasu? – zapytała po chwili Barbara.

– Długo pani zwlekała... Wiem to od lekarza rodzinnego. – Nie patrzył pacjentce w oczy.

– Ile? – powtórzyła z naciskiem.

– Trudno powiedzieć.

– To dla mnie bardzo ważne. Muszę wiedzieć, ile... miesięcy, tygodni, dni...

– Miesiące – odparł cicho. Był jeszcze młody; miał za sobą za mało takich rozmów z pacjentami, więc wciąż go poruszały. – Może tygodni – dodał jeszcze ciszej.

Zdziwiła go reakcja starszej pani. Nie potrafił sobie tego zracjonalizować. Ludzie na ogół histeryzują, są przerażeni, krzyczą albo wpadają w apatię. Ale nie ona. Informację o swojej śmiertelnej chorobie przyjęła z wyjątkowym spokojem i autoironią.

– Muszę wracać do moich pszczoł – powiedziała, ustalwszy z lekarzem szczegóły leczenia paliatywnego.

Miała odłożone pieniądze, ale córka z pewnością pomoże jej finansowo. Barbara żyła wprawdzie w czasach, kiedy rodzice nie mogli być pewni pomocy dzieci na stare lata, ale nie miała wątpliwości, że Agata stanie na wysokości zadania. Chciała umrzeć w domu, w pobliżu swoich pszczoł, i miała nadzieję, że leki przeciwbólowe nowej generacji pomogą jej walczyć z bólem. Bo tego duchowego nie da się uśmierzyć niczym. Nie można go wyłączyć jak światła, które razi w oczy. Barbara żyła z takim bólem od czasu, kiedy zdała sobie sprawę, że niczego nie można cofnąć, że nie da się już niczego odwrócić ani zadośćuczynić za wielką krzywdę, któ-

ra wyrządziła pewnemu człowiekowi wiele lat temu. Z takim cierpieniem żyje się jak z cierniem, którego nie można wyjąć, nie powodując jeszcze większego bólu. Dlatego wiadomość o swoim wyroku przyjęła spokojnie.

Agata będzie pewnie na mnie krzyczała, że się poddaję, pomyślała w drodze do domu, ale w końcu zaakceptuje moją decyzję.

Oswajała się z myślą o swojej chorobie przez tydzień. Codzienne dogłądanie uli sprawiało jej przyjemność. Jesień to czas miodu wrzosowego, najbardziej aromatycznego, o lekko piekącym smaku. Ulubiony miód człowieka, którego kiedyś kochała. I teraz, i wtedy był to najdroższy gatunek na półkuli północnej. Gdy tej jesieni, ostatniej w jej życiu, odwirowywała miód wrzosowy, uśmiechnęła się do siebie po raz pierwszy od czasu, gdy usłyszała wyrok.

Spotkamy się wkrótce, pomyślała. I będę mogła poprosić cię o wybaczenie.

Nie żył już od siedemdziesięciu pięciu lat, a Barbara wciąż nosiła w sobie jego śmierć.

*

Następnego dnia przyjechała Agata z synem. Barbara uwielbiała wnuka, bo w jakiś sposób przypominał jej jego. Dominik miał w sobie tę delikatną wrażliwość, ukrytą pod powierzchownością zawadiackiego siedemnastolatka. Kiedyś zwierzył się babci, że pragnie zostać malarzem. Była tym zaskoczona, ale tylko przez chwilę. Poprosiła go, żeby pokazał jej próbkę swoich umiejętności. I pokazał – znakomicie uchwycone twarze, dłonie trzymające różne przedmioty, martwe natury i akty, wyłącznie męskie, ale piękne, urzekające formą i lekkością stylu. Patrząc na nie, zamarła, bo już kiedyś podobne widziała. Znała malarza o mistrzowskiej

ręce do portretów węglem. A Dominik był do niego taki podobny, choć zewnętrznie, ze swoimi jasnymi włosami, raczej go nie przypominał.

– Cieszę się, że przyjechałeś – powiedziała, witając go.

Chłopiec się uśmiechnął. Rozumiał się z babcią bez słów. Nie musieli do siebie dzwonić po kilka razy dziennie i rozmawiać o wszystkich tych nieważnych rzeczach, o których ludzie zazwyczaj rozmawiają przez komórki. Widywali się raz na miesiąc, może dwa, i potrafili bez trudu zacząć rozmowę od miejsca, w którym ją skończyli.

– Nie wiem, mam, czy to dobrze, że przyjechał. Zaniebduje treningi – odezwała się Agata, wyjmując siatki pełne jedzenia, soków, wina i Bóg wie czego jeszcze z bagażnika terenowego volkswagena.

– Jeszcze się nachodzi na te treningi. Babcię ma się jedną – zwróciła się do córki Barbara, obejmując wnuka. – Odwirowałam miód. Wrzosowy, ostatni w tym roku.

– Musi być pyszny – powiedział chłopak.

– Jak jest? – zapytała Barbara, która potrafiła czytać nastroje wnuka.

Dominik był chłopcem, którego można było łatwo skrzywdzić. Miał serce na jak dłoni. Niezdolny do kłamstwa, niezdolny do podłości.

– Dobrze, babciu – odparł z promiennym uśmiechem. – Naprawdę.

– Porozmawiamy potem – rzuciła, widząc, że córka wzięła siatki pełne zakupów i weszła już na werandę.

Dominik poszedł na górę, do pokoju, który zajmował zawsze, kiedy przyjeżdżali do Kampinosu, a Barbara spojrzała na Agatę. – Jesteś tytanem pracy. Odpoczęłabyś trochę od tej harówki.

– A wiesz, że to jest dobry pomysł – podchwyciła Aga-

ta. – Skończyłam program o korupcji wśród polityków. Mordercza harówka, dosłownie padałam na pysk.

– Zawsze to samo. Politycy byli skorumpowani przed wojną, za komuny i są teraz. Nic nadzwyczajnego. Masz obsesję na tym punkcie.

– To nie obsesja, mam. To po prostu moja praca.

– Ludzie zazwyczaj oddzielają pracę od życia prywatnego.

– Nie potrafię, przyznaję, ale patrzenie na ręce politykom jest kurewsko ważne, mam.

– Ten twój język...

– Chciałam tylko podkreślić wagę problemu. – Agata wyciągnęła paczkę papierosów, włożyła jednego do ust, ale kiedy sięgnęła po zapalniczkę, matka pokręciła głową.

– Nie pal, proszę.

– Przepraszam, zwykle ci to nie przeszkadzało.

– Nie czuję się najlepiej – przyznała się Barbara.

– Co ci jest, mam? Powinnaś chodzić do lekarza, ale tutaj, w tej głuszy, trudno o dobrego geriatrę.

– Po co mi geriatra?

– Mam, nie masz czterdziestu kilku lat – odparła z przekąsem Agata.

– Ty masz prawie pięćdziesiąt i wyglądasz gorzej niż ja w twoim wieku. Jak przeżyjesz tyle lat co ja, to będzie cud. Po drodze wykończą cię stres, papierochy, niezdrowe jedzenie i alkohol. Mnie przy życiu trzymają pszczoły i dobrze o tym wiesz. Chciałabym wieczorem z tobą porozmawiać.

– Coś się stało? – Agata uważnie przypatrywała się matce.

– A czy musiałyby się coś stać, żebyś mogła porozmawiać z własną córką? Po prostu mam ochotę z tobą porozmawiać.

Lubiły ze sobą być. Nie jest łatwo wychowywać córkę bez ojca, ale Barbara ustrzegła się przed błędami popełnianymi przez inne matki, które straciły męża: nie zawłaszczwała życia Agaty, nie ingerowała w nie bardziej, niż było to konieczne. Nie lubiła ingerować w niczyje życie. Jej córka z wyróżnieniem skończyła dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim i świetnie radziła sobie zawodowo. Jednak stacja telewizyjna, w której pracowała, żyłowała swoich pracowników, a pogodzenie macierzyństwa z korporacją nie jest sprawą łatwą. W zasadzie karkołomnie trudną, jak wejście na Matterhorn. Mimo to Agata wieczorami znajdowała czas, by zadzwonić do matki, i czasem gadały godzinami.

Obiad gotowały razem. Wystarczył dzień, a nieraz nawet kilka godzin w Kampinosie, a cały stres związany z pracą ustępował i Agata potrafiła cieszyć się drobiazgami, nawet tak prozaicznymi jak gotowanie z matką zupy jarzynowej. Na drugie zrobiły naleśniki z owocami leśnymi i bitą śmietaną.

Kiedy jedli wspólnie na tarasie, na horyzoncie ponad lasem zamajaczyła cienka wstęga burzowej chmury.

*

Był wieczór, dość chłodny po ciepłym jesiennym dniu, więc Agata pomogła matce rozpalić w kominku, a potem – tak jak lubiła na koniec dnia – naląła sobie kieliszek madery. Dominik był nie w humorze i szybko poszedł na górę spać.

– Dlaczego tak organizujesz mu czas? Po co mu te wszystkie treningi? – spytała Barbara.

– Pływanie jest zdrowe, a poza tym, chodząc na treningi, nie będzie miał czasu na różne bzdury, które dzieciakom w jego wieku przychodzą do głowy.

– Powinnaś dać mu szansę na rozwijanie talentu – za-

oponowała Barbara.

– Mówisz o tym jego bazgroleńcu? – Agata nie traktowała poważnie malarskich prób syna. – To niepoważne. Poza tym z tego na pewno nie będzie żył.

– A skąd wiesz? On naprawdę ma talent.

– A skąd ty, mamo, znasz się na malarstwie?

– Nie powiedziałam, że się znam, ale wiem, że Dominik ma talent. Powinien go rozwijać. Myślę, że mało znasz własnego syna.

– Mamo, nie zaczynajmy znowu. Wiem, co jest dobre dla mojego dziecka – upierała się Agata.

– A ja myślę, że byłby z tego dużo większy pożytek, gdybyś pozwoliła mu robić to, co chce. Ma artystyczną pasję. Znałam kiedyś takiego człowieka... Dominik maluje podobnie jak on – powiedziała Barbara.

– Jakiś twój znajomy z czasów Gomułki? – zapytała, ironizując, córka, która nie miała pojęcia, o kim matka mówi.

– Nie, ten człowiek zginął w czasie wojny. Był mi bardzo bliski.

Agatę korciło, by podpytać mamę, ale przestrzegła niepisanej zasady, że o pewnych sprawach nie należy z nią rozmawiać: o okupacji, czasach stalinowskich i w ogóle o okresie PRL-u. Ojciec Agaty, Ryszard Siemieński, wykładowca prawa na Uniwersytecie Warszawskim, zmarł miesiąc po wprowadzeniu przez ekipę Jaruzelskiego stanu wojennego.

– Mamo, o czym właściwie chciałaś porozmawiać? Zabrzmiało to tak tajemniczo, kiedy wspomniałaś o tym po południu.

Barbara westchnęła. Nadszedł ten moment. Na pewno nie będzie łatwo, ale doszła do wniosku, że im wcześniej to powie, tym lepiej. Pewne sprawy, nawet te najtrudniejsze, trzeba umieć z siebie wyrzucić, kiedy stają się tak nieznośnie

ciężkie, że nie sposób dźwigać ich samemu.

– Mam raka płuc – powiedziała cicho Barbara. – Są już przerzuty... Myślę, córeczko, że niedługo umrę.

Kieliszek wypadł Agacie z ręki i z brzękiem rozbił się na drewnianym parkiecie.

– Nie dziś i nie jutro – próbowała ją uspokoić matka. – Mamy jeszcze trochę czasu.

– Co ty mówisz?! Rak nie musi oznaczać wyroku. Będziemy cię leczyć – powiedziała zrozpaczona córka. Doskonale znała matkę, dumną kobietę, która przetrwała wojnę i komunizm. Tak przynajmniej Agata uważała, bo nigdy nie pytała jej o przeszłość.

– Nie, Agatko, żadnej chemioterapii. – Barbara przygotowała się psychicznie na rozmowę z córką. – Nie będę przysparzała sobie dodatkowych cierpień. Nie będę tego niepotrzebnie przedłużać.

Agata, płacząc, wstała i podeszła do matki. Objęły się bardzo mocno. Barbara spodziewała się ataku wściekłej histerii, do której córka była zdolna, ale tym razem nic takiego się nie stało. Po prostu objęła mamę i razem płakały przez kilka minut.

– Mamy jeszcze przed sobą trochę czasu – powtórzyła potem Barbara, tuląc córkę.

– Musisz się leczyć. Wiesz, że pieniądze nie grają żadnej roli. Nie chcę, żebyś umarła.

– To wcale nie będzie takie straszne, córeczko. Przynajmniej odejdę spokojnie i świadomie.

– Nie mów tak!

– Ale tak będzie. Oczywiście, jeśli zaczną się bóle, które uniemożliwią mi normalne funkcjonowanie, chciałabym, żeby ktoś przy mnie był.

– Ja będę przy tobie, mamo.

- Masz pracę.
- Znajdziemy jakieś wyjście. Pojedziesz ze mną do Warszawy.

Barbara popatrzyła córce w oczy.

- Nie znoszę Warszawy. Zbyt wiele złych wspomnień, zbyt wiele duchów. Poza tym mam pszczoły, ktoś musi się nimi zająć.

- To je sprzedasz.
- Przyjaciół się nie sprzedaje.
- Mamo, to tylko głupie owady.

Barbara pokręciła głową. Znała córkę i wiedziała, że nie rozumie jej, tak jak nie rozumiała syna.

- Pszczoły nie są głupie. Są jednością. Jedna wie to co wszystkie. Razem żyją i współpracują. Pszczoły to życie.

- Mówisz, jakbyś naczytała się poradników. - Agata była poirytowana uporem matki. - *Szczęśliwe życie w lesie wśród pszczoł!*

- Właśnie takie jest. Jak myślisz, dlaczego zawsze cię żądła?

- Bo są wredne - parsknęła Agata.

- Nie, bo się ich boisz. Jesteś nerwowa, ponieważ tak żyjesz i taką masz pracę. Żyjesz bez przerwy w kieracie, w ciągłym stresie, zero życia osobistego. Wszystko podporządkowałaś tej cholernej stacji telewizyjnej. Pszczoły nie lubią nerwowości.

- Przestań, proszę. Mówisz jak nawiedzona, a byłaś kiedyś racjonalnie myślącą panią prokurator.

- Wyleczyłam się przy pszczołach. Nauczyłam się spokoju i ze spokojem przyjmę własną śmierć, czy się to komuś podoba, czy nie. Córeczko, nie kłóćmy się. Lepiej się z tym prześpijmy. Jutro też jest dzień.

- Ale ja chcę, żebyś się leczyła.

– Mam dziewięćdziesiąt lat. Wystarczy.
– Załatwię ci jakąś dobrą klinikę, w Warszawie albo w Niemczech.

– Pozwól, że umrę tak, jak sama tego chcę.

Barbara powiedziała to tonem tak nieznoszącym sprzeciwu, że Agata Wróblewska, gwiazda telewizji, znana z tego, że zawsze stawiała na swoim, nie śmiała protestować.

*

Agata nie mogła zasnąć. Jako osoba racjonalna spodziewała się tego, że matka kiedyś odejdzie, ale nie sądziła, że będzie to tak szybko. Dotąd nie zastanawiała się również nad tym, że zanim to nastąpi, mama może cierpieć. A ona nie godziła się na jej cierpienie. Agata chciała to kontrolować, jak wszystko w swoim życiu. Z tego powodu odszedł jej mąż Krzysztof. Chciała również kontrolować Maxa, czarnoskórego detektywa, męża jej zabitej przed laty przyjaciółki, z którym zbliżyła się, gdy przed dwoma laty wspólnie zde-maskowali aferę związaną z operacją Lunatyk. Tylko że Max był ostatnim człowiekiem, którego dałoby się kontrolować. Uświadomiła to sobie, kiedy po raz pierwszy odwiedziła go w Stanach. Spędzili wtedy razem ponad miesiąc i choć bywało cudownie, choć czuła się przy nim tak bezpiecznie jak z nikim dotąd, choć dzięki niemu przypomniawszy sobie, jak fantastyczny może być seks, oboje wiedzieli, że są do siebie zbyt podobni, by móc wspólnie budować związek. Mimo to był jej bardzo bliski i wiedziała, że zawsze może na niego liczyć. Czasami do siebie dzwonili. Zupełnie spontanicznie. Kiedy ją zdołowało coś w pracy albo gdy jego dopadła polska chandra. Potrafili rozmawiać dwie godziny, nieraz dłużej. I teraz, nie mogąc sobie znaleźć miejsca po tym, co usłyszała od matki, zapagnęła usłyszeć jego głos.

Sięgnęła do komody po komórkę i szybko wybrała numer Maxa. Po chwili włączyła się automatyczna sekretarka i Agata usłyszała nagrany przez niego komunikat, że nie może rozmawiać, ale z pewnością oddzwoni.

Max miał jedną słabość. Pił. Nigdy nie ukrywał, że zdarza mu się pić za dużo, ale twierdził, że nad tym panuje. Agata, mająca eksmęża alkoholika i obracająca się w środowisku celebrytów, wśród których było wiele osób uzależnionych, wiedziała jednak, że nad tym człowiekiem kontroli nie ma i mieć nie może. Max sięgał po butelkę głównie wtedy, gdy dopadała go... Polska i jej demony, które nosił w sobie za sprawą genów – w połowie polskich. Aga była u niego w Stanach, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy kompletnie pijanego, po tym, jak pokłócił się z matką. Jego relacje z polską częścią rodziny nie należały do łatwych. Tak czy inaczej widok Maxa wymagającego detoksu tak ją wstrząsnął, że postanowiła kontrolować swoje uczucia, bo właśnie w tym czasie zdawała sobie sprawę, że zaczyna się w Maxie zakochiwać. Zapanowała nad tym, wróciła do Polski, do kariery i syna, i czasem tylko cisnęły się jej do głowy niechciane myśli: jak by to było...?

Pewnie zachlał, pomyślała teraz, odłożyła komórkę, zamknęła oczy i bezskutecznie próbowała zasnąć.

*

Rano Dominik z babcią poszli do lasu na spacer. Chłopak wyczuwał, że coś jest nie tak, jak być powinno.

– Babciu, co się stało? Mama nie rozmawia z tobą od rana.

Barbara popatrzyła z czułością na wnuka. Troska o niego spędzała jej sen z powiek. Czy tak wrażliwy człowiek jak on da sobie radę w dzisiejszym świecie, tak bezwzględny wo-

bec ludzi, którzy są choć trochę inni?

– Jak twoje szkice? Chciałbyś studiować malarstwo? – zapytała.

– Marzę o tym – przyznał się Dominik. – Ale nie wiem, jak mama zareaguje.

– Powinieneś robić to, do czego stworzyła cię natura, niekoniecznie to, co mama uzna za najlepsze dla ciebie.

– Chce, żebym poszedł na prawo. Ale prawo jest nudne jak flaki z olejem... to zakuwanie na pamięć tych wszystkich paragrafów... Przepraszam... wiem, że jesteś prawniczką, tylko że mnie to nie interesuje.

Barbara ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Masz wielki talent. Uważam, że powinieneś go rozwijać i nie wolno ci go zaprzepaścić. Dostałeś go od Boga.

Dominik się uśmiechnął. Babcia rozumiała go doskonale.

– Nie wierzę w Boga – powiedział szczerze.

Podniosła na niego wzrok. Boże, jest taki sam jak on. Młodzieńczy ateizm, też go kiedyś doświadczyła, dlatego z dużym spokojem przyjęła jego deklarację.

– To w sumie nie ma znaczenia. Z perspektywy Boga, oczywiście. – Uśmiechnęła się przyjaźnie.

Chłopak popatrzył na nią swoimi niebieskimi oczami. Wiedziała, że jej wnuk zrobi wszystko, by postawić na swoją pasję, i nie będzie zakuwał formułek prawniczych. Chciał, żeby pomogła mu przekonać matkę.

– Wiesz, babciu, jaka jest mama. Bez przerwy próbuje decydować za mnie.

– No cóż. Zawsze była uparta jak osioł.

– Porozmawiasz z nią?

– Oczywiście.

Szli razem przez las, który łagodnie wznosił się i opadał wraz z pofałdowaniami terenu. Jesień tego roku przyszła

wcześniej; czuło się ją, chociaż był dopiero koniec sierpnia. Drzewa czerwieniły się i żółciły wszystkimi odcieniami. Nieopodal na krzak sfrunęła z drzewa pliszka. Niezwykły żółty ptak. Inny niż wszystkie w polskich lasach. Piękny.

– Wspaniałe są szczególnie te męskie akty – odezwała się po chwili Barbara.

Dominik trochę się zakłopotał. To dziwne, pomyślał, że przy niej mogą się czuć zupełnie swobodnie.

– To kolega... Grzesiek. Był moim modelem – powiedział zmieszany.

– Jesteście ze sobą? – zapytała Barbara. – Nie powiem mamie ani nikomu innemu.

Dominik się uśmiechnął.

– Tak. Skąd wiedziałaś?

– Z twoich rysunków.

Nie zadawała mu więcej pytań. Musiała go jakoś przygotować na to, że wkrótce nie będzie jej już przy nim. Chciałaby też, żeby najbliżsi – córka i wnuk – ją zrozumieli. Wybory, jakich dokonywała w życiu, nie były łatwe, szczególnie te w czasie wojny i potem, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Miała nadzieję, że mimo choroby zostanie jej jeszcze trochę czasu, żeby wszystko wyjaśnić, poprosić o wybaczenie, choć zdawała sobie sprawę, że nie mogą go udzielić ci, którzy ją kochają.

– Posłuchaj, Dominiku, jesteś już prawie dorosłym mężczyzną i na pewno wiesz, że są sprawy, które znajdują się poza naszą kontrolą. Na przykład choroby.

Przystanął. Miał w sobie tyle empatii.

– Jesteś chora, babciu? – zapytał nieśmiało.

– Tak.

– Można to wyleczyć?

– Nie, kochanie. To właśnie chciałam ci powiedzieć.

– Czy... czy ty umrzesz, babciu?

Chwila prawdy. Bardzo bolesnej, ale w tym miejscu, w lesie, w którym wszystko zmierzało ku swojemu końcowi w rytm pradawnych praw natury, Barbara uznała, że nie należy bać się tej prawdy ani tego, żeby powiedzieć ją komuś, kto ją kocha. Nie chciała sprawić bólu temu wrażliwemu chłopcu, lecz wołała mieć pewność, że jej bliscy nie będą zaskoczeni, gdy nadejdzie ten moment.

– Tak, myślę, że tak. Mam jednak jeszcze trochę czasu.

Dominik nie płakał. Nie wypytywał, po prostu z nią był. Przytulił ją najczulej i najdelikatniej, jak potrafił. Pomyślała, że – o dziwo – jest w tym bardzo męski. Mógłby podobać się dziewczynom, gdyby chciał.

– Nigdy cię nie zostawię samej, babciu – obiecał.

Takie chwile są esencją życia, przemknęło Barbarze przez głowę.